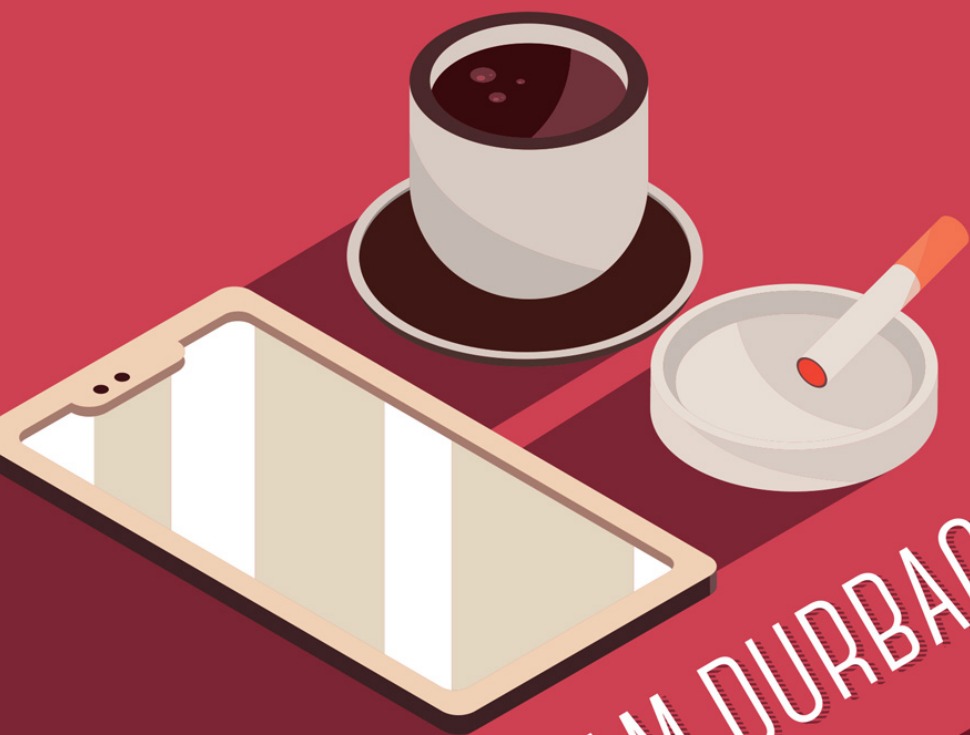


SAMOZWAŃCZY

LITERAT



ADAM DURBACZ

SAMOZWAŃCZY LITERAT

to 16 opowieści wypełnionych dynamiką i różnorodnością formy, lekkim humorem i barwnym językiem, silnymi emocjami i głębszą refleksją, celnie portretujące ludzką codzienność w jej egzystencjalnym wymiarze, przybierającym nierzadko zgoła magiczną postać. Jest to książka, która zabierze Cię w niezwykłą podróż przez różnorodne światy ludzkich doznań: zabawnych i tragicznych, nostalgicznych i przepełnionych sarkazmem. Wśród tych niezwykłych historii znajdziesz „Papużkę” - poruszającą opowieść o dziewczynce, która jako dorosła kobieta musi stawić czoła demonom po stracie matki. Jej historia wciągnie Cię głęboko i pokaże, jak silne jest ludzkie dążenie do pokonywania przeciwności losu. Z kolei w utworze „Viva la vida” zajrzysz do duszy młodego pracownika korporacji, spędzającego weekend w towarzystwie kokainy i przyjaciół, którymi gardzi, podobnie jak sobą. To intensywna opowieść o zagubieniu i mozolnej próbie znalezienia szczęścia.



CHARAKTERYSTYKA POSTACI AUTORA:

Stara biblioteka, tak dla patosu. Okulary dodają inteligencji. Bluza z kapturem i uśmiech, aby pokazać, że jest luz. Na bluzie była jeszcze plamka po porannym myciu zębów, taki znaczek gapy. Jednak córka kuzyna poprzez apkę usunęła ową niedoskonałość.

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl


Sorus

ADAM DURBACZ

SAMOZWAŃCZY

LITERAT



Redaktorka prowadząca
Klaudia Tomaszewska

Redakcja
Błażej Kuszczalski

Projekt okładki
Marcin Dolata

Skład
Maciej Torz

Copyright © by Adam Durbacz 2023
Copyright © by Sorus 2023

Wydanie I, Poznań 2023

ISBN 978-83-67139-90-8

Wydadz z nami swoją książkę!
www.sorus.pl/formularz-zgloszeniowy/

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

*Dla ukochanych babć:
Helenki i Lusi*

Viva la vida

To nieprawda, że tamtej nocy ktoś zmuszał Filipa, by na przekór swej woli pływał po nocnej Warszawie, pił i wciągał kokainę, gubił klucz do pokoju rozkoszy i obracał się w sferze iluzji. Nie! To wszystko były pomysły Filipa.

W piątek rano Filip cierpiał. Oj z tą pracą było mu nie po drodze. Kłął na słabo skręcone krzesło, na którym wiercił się nerwowo. Przeklinał również biurko i drewnianą podstawkę na komputer, który miał w szczerzej nienawiści. Przeklęty monitor – wampir codziennie wysysający z niego energię.

Chociaż Filip odpisywał na maile klientów firmy, czynił to od niechcenia. Był bardziej jak firmowa maszyna do pisania aniżeli pogodny i ambitny pracownik.

— Filip, tylko nie zapomnij złożyć sprawozdania z tego tygodnia — przypomniała mu menadżerka, lekko się przy tym uśmiechając.

— No pewnie, Agnes. Właśnie się za to zabieram.

— Nice — podsumowała. I już miała zamiar odejść, jednakże nie mogła się powstrzymać, więc dodała: — Bo w zeszłym tygodniu sprawozdanie było niepełne. — Po czym zniknęła w gąszczu biurek, za którymi siedzieli równie zmęczeni tygodniem, co Filip.

A ten krzyknął jeszcze, gdy Agnes odchodziła:

— Teraz wszystko będzie na czas! — Po czym wywrócił oczami i pokazał środkowy palec jej plecom.

Sprawozdanie odfajkował. Na maile od klientów odpowiedział. Wybiła godzina szesnasta. Filip wyłączył wampira i wreszcie wyszedł na wolność.

Po raz ostatni w tym tygodniu widział tę wypraną z emocji, ambitną do porzygu i oziębłą, choć młodą, ropuchę Agnes. Gdy przed wyjściem życzył jej miłego weekendu, pomyślał: „Jakiś gang bang by ci się przydał, zimna suko”.

Opuścił biurowiec o godzillich rozmiarach, a właściwie szklaną pułapkę, w którą dał się złapać, sam nie wie jak. Wychodząc z pracy, nigdy nie patrzył za siebie. Bo co by było, gdyby nagle zamienił się w słup soli i już na zawsze pozostał na płycie chodnikowej prowadzącej do jego biurowca. Według Filipa, ten skrawek betonu to przedsionek piekła.

„@Tymek, @Emilia, @Marko, @Mini, @Wiola. Kto leci na clubbing?! Piątunio, warszawka, viva la vida :)” – taka to wiadomość zawitała na smartfonach członków grupy Viva la vida na Messengerze. A wyszła prosto z Filipowego iPhone’a. Bo to nie ten sam Filip, co pod rządami Anges; tamten to poniedziałkowo-wczesnopiątkowy korporacjusz. Ten z Messenger’a to lepszy Filip, wersja weekendowa.

Członkowie grupy Viva la vida uruchomili korporacyjne paluchy i odpisali. Emilia nie wyrobiła się z jakimś projektem i musiała pracować w ten weekend. Reszta odpowiedziała zgodnie z przewidywaniami Filipa: „let’s get to the party!”.

I tak oto cała Viva la vida, z wyjątkiem najsmutniejszej osoby w Warszawie – Emilii, poszła w tany. Najpierw przystali na before party w chacie Tymka, trzypokojowym mieszkaniu kupionym mu przez dzianych i kochających rodziców.

Cała piątka warszawiaków po dwudziestce – chociaż średnio biorąc, bliżej im było trzydziestki – w imprezowym usposobieniu zakrzykiwała się tylko im rozumianymi żartami. Tymek kilkakrotnie polewał bursztynową whisky. Mieszkanie opływało w różne dymy, namiętnie puszczane ze wszystkich obecnych płuc. Przez siwe powietrze przebijała się jedynie potężna w basie techniawa.

Po paru godzinach intensywnej rozgrzewki Tymek sypnął jak z rękawa kokainą. Ekskluzywna używka zachęcająco spoczęła na obleganym pożądanymi spojrzeciami stole. Po chwili rozbiegany we wszystkie strony proszek przyjął postać pięciu małych węży, podnieconych faktem, że znajdują schronienie w ciepłych jaskiniach, ponad wszystko ich wyczekujących.

Filip wreszcie poczuł weekend. Zapomniał o skąpanej we wredności Agnes i oczekującym go monitorze-wampirze. Bursztynowa whisky niespiesznie kołysała nastrojem. Zgrabniutki jak pióro Parkera joint formował usta w fikuśną łódeczkę. Zaś puszysty, niczym alpaka, koksik dawał błogie ciepło i choć niepozorny, też jak alpaka, kopał z końską siłą.

Filip w rajskim nastroju stapał po lekkim – o ileż lżejszym niż w tygodniu – chodniku i to w jakże zacyjnym gronie. Kolorowe ptaki nowego pokolenia: piękni, nowoczesni, tolerancyjni, ubrani po europejsku, wszyscy z angielskim uśmiechem i amerykańskim luzem, chwiejnie maszerowali Nowym Światem. A Świat pozdrawiał ich, krzycząc: viva la vida, Warszawo!

Któryż z nowych światów może nęcić bardziej aniżeli Niebo? To też Filip z przyjaciółmi wstąpili do Nieba, klubu o niemałej sławie, lokalu idealnego dla tak niebiańskiej śmietanki towarzyskiej.

Wysoki sufit – niebieskie sklepienie odbija kolorowe światła puszczone w towarzystwie hipnotyzującej muzyki. Srebrna kula stanowi słońce tej sali. Do światła mkną trzepocące biustami i torsami ćmy. DJ to kapłan, co poświęca zbłąkane owieczki dźwiękom granym jakby trąbami apokalipsy. Wyznawcy nocnych grzeszków wiją się i przeplatają w gąszczu płonących młodych ciał. – Tako by poeta owo miejsce opisem opatrzył...

Impreza trwała w najlepsze. Filip co jakiś czas do wodopoju zaglądał, lecz jak to na pustyni, ciecz pitna w cenie złota. Klubowa oaza, którą barem zowią, nie oszczędzała Filipowego portfela. W dodatku pomimo regularnego sączenia drinków Filip po dwóch godzinach z sił opadł. Dlatego spiesznie zaczął szukać Tymka. Gdy go już znalazł, poprosił z całej nadziei:

— Posyp koksu, jak możesz.

— Sorry stary, pucha.

— Serio? Nic? — Filip posmutniał.

— Niestety — Tymek złączył się z nim w cierpieniu. Nagle jednak jakby żarówka nad jego głową zamigotała.

— Ale znam tu jednego, co załatwi! — oznajmił entuzjastycznie. — Tylko ty zapłać tym razem. Ja brałem ostatnio. Marko jest pusty, a dziewczyny gdzieś się wymknęły.

Filip stwierdził, że nie ma problemu. Jednak zapiekło go w okolicach kieszeni na myśl, że jego budżet imprezowy zwiększa tolerancję i to ko-

lejný weekend z rzędu. No, ale jak się bawić, to się bawić. Viva la vida! Jutro spojrzę na konto bankowe cyferki gubiące – krzyczał w sobie uspokajająco, zagłuszając nieznośne głosy rozsądku. „Wszystko, co dobre, szybko się kończy”, to powiedzonko, zdaniem Filipa, do niczego innego bardziej nie pasowało jak do kokainy.

Tej klubowej nocy Filip nie wyładował seksualnej energii na jakiejś przypadkowej dupencji, jak to miał w zwyczaju; nie wyrwał żadnego kwiatka, mimo że różnorakim kwieciami porośnięty parkiet aż prosił się o skubnięcie, choćby mleczyka.

Noc, jak to noc, z czasem blednie i gwiazdy ze swej talii gubi, a słońce bez skrpułów w księżycowe karty cynicznie zagłada. Trzeba więc się schować. Zabrać gram nocy dla siebie, gdyż Nowy Świat już starcem. Wrócili ekipą do punktu startowego, do mieszkania Tymka. Ponownie domówili kokainy, tym razem więcej. Zrzucili się wszyscy prócz Marko, którego finanse przeżywały „chwilowy kryzys”.

Mini z Wiołą zgarnęły trochę koki na talerzyk i udały się do drugiego pokoju w celu oddawania się niewieścio-niewieścim uciechom, jak to czasami miały w zwyczaju. I choć dla większości mężczyzn możliwość pływania w dwóch parach piersi jest seksualnym eldoradem, to jednak te dwie panie nigdy nie pozwalały żadnemu penisowi z Viva la vida na wejście do złotego miasta.

Whisky o bursztynowej barwie w całości opuściła szklane butelki i zamieszkała w niewyraźnej mowie pijących. Trzeba było więc dokupić. O suchych ryjach niech siedzą w Afryce Środkowej. Nie tu. Viva la vida, Warszawo!

— Panowie, nie chcę nic mówić, ale wam wypada teraz kupić — oznajmił Tymek.

Filip i Marko przytaknęli i poszli do sklepu. Zostali bestialsko spowiewani przez słońce, towarzyszące godzinie 9:30. Ściągnęli z półki whisky, raczej z górnej półki, by choć trochę swą bursztynowością dorównywała tej od Tymka. Do tego wzięli colę i dwie paczki Marlboro. Stanęli przy kasie.

— Trzysta piętnaście złotych, poproszę — pani kasjerka oznajmiła.

Marko spojrzął na Filipa.

— Filip, wiesz, że ja... teraz...

— Wiem, wyluzuj — odpowiedział Filip i ze słoną kluchą w gardle, nie patrząc na terminal, wsunął kartę i wpiął pin do swej rozrzutności.

Kiedy wrócili, zastali śpiącego na kanapie Tymka. Z nosa mu spływała krew, a z ust resztki wymiocin, w których zresztą spał jak w pie-rzynie. Na stole leżało jeszcze trochę kokainy, więc razem z całą whisky przedłużyły nocną iluzję. Marko łyknął lwią porcję bursztynowej. Jego mina zwiastowała pawia. W powstrzymaniu się przed rzyganiem na pewno nie sprzyjał pływający po mieszkaniu odór wymiocin. Marko więc sokolim tempem poleciał do toalety, garbiąc się przy tym jak sra-jący pies.

Dłuższy czas nie wracał. Filip myślał wtedy o głupich stratach minio-nej nocy. Doszedł do smutnego wniosku o swojej bezapelacyjnej śmiesz-ności, o napompowanym próżnią balonie, co dzień unikającym tańczą-cych wokół igieł. Objął nagim spojrzeniem otaczającą go rzeczywistość. A tam: zaciśnięte żaluzje, żeby piękny dzień nie zaglądał, stado pustych butelek porzuconych jak sieroty, popiół pokrywający dywany, niedopałki papierosów skaczące po całym mieszkaniu, a na stole kokaina wraz ze stałymi sprzymierzeńcami – plastikową kartą i banknotem, który zapew-ne, gdy wykona swą powinność, obróci się w biały proch przy następnym domówieniu.

Nagle koks wydał się Filipowi jakby fortelem wymierzonym w niego samego. I to podwójnym fortelem – namiastką luksusu i prestiżu, który nie istnieje, kłamstwem dla ducha, mglistą ścianką, gdzie ciepło złud-ne, a i sama mgła ziąb roztacza. Obok siebie dostrzegł zarzyganego i zaszczanego Tymka, maminsynka i degenerata, co bez rodziców jest niczym. Z kibla zaś słyszał charczenie Marko, krętacza i pasożyta żerują-cego na cudzej naiwności, byle tylko wypić i przyćpać.

Filip siedział sparaliżowany, wbity w fotel własnymi demonami, wi-docznymi jak nigdy dotąd, jasnymi dziś jak słońce, co świeci za zaci-śniętymi żaluzjami. Wtem lekko uchyliły się drzwi od drugiego pokoju. A za nich wyplął subtelny głos Wioli, o wyraźnej nutce zmysłowości:

— Fifi, potrzebujemy pomocy.

Po czym równie zmysłowo czarował głos drugi, należący do Mini:

— Przez ostatnią godzinę sobie radziłyśmy, no ale...

— Ale przydałoby się coś twardego — dokończyła Wiola.

Długi pisk towarzyszył nieśpiesznie otwierającym się drzwiom. Teraz te drzwi, oparte jeszcze przed chwilą o futrynę, były już historią. Obecnie opierał się o nią ktoś inny, ktoś żywy i ciepły, zgrabny i kuszący. Wiola oparta łokciem o futrynę nawijała pęczek włosów na palec tej samej ręki. Zaś palcami drugiej powoli masowała różowitki sutek zdobiący jędrną pierś pozostawioną na pastwę nagości, tak jak jej całe ciało. Na twarzy Wioli malował się zadziorny uśmieszek, świetnie komponujący się z gorącym wejrzeniem. Jej ramiona stanowiły dla Filipa idealny wstęp do wizualnej wycieczki wzdłuż linii wyznaczającej kobiecą estetykę, wystarczającą by go onieśmielić.

Zza jej lewego ramienia wyłoniła się druga postać, o identycznie drapieżnym wzroku i równie znikomej garderobie, niosąca tornado podniecenia pustoszące Filipa doszczętnie. Teraz Mini wraz z Wiolą, jakby scalone, trwały w zaprojektowanym gdzieś na górze dziele sztuki. Ku uciesze Filipa, dwie królowe snów rozpląwały się w nader śmiałym pocałunku, gładząc dłońmi swe aksamitne ciała, nie pomijając okolic nie bardzo im wstydliwych. Odprawiając ów rytuał na cześć dwóch złączonych pierścieni, obydwie, jakby w splocie, wspólnymi siłami zachęcały Filipa, by dołączył.

W jego lędźwiach zadrżało.

Przed kilkoma laty, podczas jednej z domówek, Filip i Mini pod wpływem alkoholu ulegli chwilowej żądzy. Tyle że był to akt w stylu: chędożenie w klaustrofobicznej łazience. Goła pupa Mini na wirującej pralce. Filip ze spuszczonej do kolan spodniami, u których dyndał pasek, co brzęczał przy każdym pchnięciu. Nie miało to nic wspólnego z uczcą, na jaką właśnie został zaproszony.

Podążał więc ku Wioli i Mini powolnym krokiem, nieprzerwanie oszołomiony. Tracąc cierpliwość, jednym wspólnym ruchem wciągnęły go do pokoju rozkoszy. Wiola z impetem zamknęła drzwi, tak że zamknięcie to nie miało nic wspólnego z uprzednim ich otwarciem.

Zaczęły go rozbierać, wręcz zdzierając z niego przepocone i zalane alkoholem ciuchy niczym głodne lwice rozszarpujące antylopę. Filip też nie próżnował, co przypominało zachowanie małego chłopca, któremu pozwolono wejść na dwie minuty do sklepu z zabawkami i wziąć to, na co ma ochotę. Jeśli był jakiś moment w życiu Filipa, kiedy chciał się rozdziwić, to był to właśnie ten moment!

Niestety, w tejże fontannie seksualnego szaleństwa zabrakło jednego strumienia. I choć na pokładzie było pożądaną miękkość w nadmiarze, twardość na pokład zawitać nie chciała. „Kokaina kamieniem miłowym w mej niemożności. Alkohol na akord pity. Zmęczony organizm. Zajechna dusza” – pomyślał Filip, szukając odpowiedzi na pytanie: czemu utraciłem klucz otwierający drzwi do raj, który okazał się piekłem.

Wioli i Mini nie brakowało determinacji. Starły się. Ale nie pomógł układany przez nie bujny bukiet najwymyślniejszych pieszczot. Dalsze starania miały tyle sensu, co tłumaczenie snów. Musiały powiesić białą flagę na niezdolnym by powstać żołnierzu.

Filip leżał nagi, a nad jego zwiedłym kwiatem rycerskości – dwie białołowy.

— No, cóż Filipku, zrobiłyśmy już wszystko — stwierdziła Mini.

— Szkoda, bo naprawdę mamy ochotę — dodała druga.

— Może innym razem! Jak będę mniej zmęczony i w ogóle — powiedział przez łzy.

— Nie — odpowiedziała Wiola, nie patrząc mu w oczy. — Jesteś fajny ziomek, po chuj to psuć. Może nas poniosło, nie powinnyśmy.

— Zgadzam się z Wiolą. Przepraszamy, Fifi...

— Okej, spoko... i tak dzięki, dziewczyny.

Spojrzały na siebie wymownie, na Filipa również.

— Bez urazy — zaczęła Wiola. — Ale czy mógłbyś, no wiesz... Bo chcemy z Mini troszkę. No wiesz...

— Tak, pewnie — półszepetem odpowiedział Filip. Po czym założył ubranie i nie rozstając się z miną skazańca, ruszył ku drzwiom.

Podczas krótkiej przeprawy między dwoma pokojami, trwającej nie dłużej niż minutę, czas stanął w miejscu. Filip znalazł się pomiędzy gorzką rzeczywistością a słodkim kłamstwem. Kiedy zamykał drzwi do pokoju rozkoszy, do którego już nigdy nie wróci, przyszła mu do głowy refleksja: „A gdyby tak zadać kłam całej tej bańce, która niejako czyni mnie nieszczęśliwym, i nie wracać do stołu. Nie szanować ludzi, którzy nie są najgodniejszymi szacunku adresatami. Nie dać się wykorzystywać”. Pomyślał też: „W poniedziałek mógłbym iść do pracy jak co poniedziałek i jak co poniedziałek nienawidzić tejże pracy, a w niej monitora-wampira. Mógłbym wkurwić się na Agnes tylko dlatego, że w przeciwieństwie

do mnie stara się robić coś w życiu dobrze. Ale może rozegrać to inaczej... i nie wyrywać się jak Filip z konopi do tego, co prowadzi donikąd albo raczej do życiowego odstrzału.

Gdy był już poza pokojem rozkoszy, uruchomił kolejną kwestię w głowie: „Czy warto było świadomie gubić ten klucz?... Czy warto było kurczyć konto na rzecz płytkich odczuć, jak i tworzyć aurę iluzji, wymaganego poczucia bycia lepszym od reszty...?”

Usiadł przy stole, a właściwie bezwładnie upadł na krzesło – szary, wysuszony liść, samotnie opadający na grudniową glebę nieurodzaju. Jedynie zmiany, jakie zaszły, od kiedy Filip wyszedł (jak się okazało) w celu poniesienia fiaska męskości, to trochę więcej rzygowin na wciąż nieprzytomnym Tymku. Widocznie podczas snu wykrztusił z siebie ostatki zalegające na bursztynowej wątrobie. I Marko siedzący już na swoim miejscu, świeżo wyrzygany i całkiem przytomny, nawet aż nadto przytomny.

Filip hknął porcję bursztynowej bez popity. Już złapał banknot, już się nachylił nad stołem, już... A tu nagle kokainy brak i nawet okruszka szukać próżno. Wstał zirytowany jak nigdy dotąd.

— Marko... Serio, wciągnąłeś wszystko?

— Wybacz, Fifi. Nie wiedziałem, gdzie byłeś. To leżało. Nie wiedziałem, czy w ogóle wrócisz — tłumaczył Marko.

— Jak nie wiedziałeś... Jak ty mogłeś, wszystko... i nic nie zostawić?

— Wybacz, serio nie wiem, co mi odwaliło.

— Robimy zrzutę na koks! Bo ja muszę — domagał się Filip.

— Jak chcesz — bąknął Marko.

— Tylko jak?! Tymek nie wygląda na chętnego... Wioli i Mini nie spojrzę w oczy. Nawet w drzwi nie zapukam. Nie w te przeklęte drzwi, drzwi do pokoju rozkoszy.

— Ja bym się z tobą zrzucił, ale wiesz, że mam kryzys — oświadczył, jak zwykle, Marko.

— Tak, tak, wiem — odparł Filip, po czym nienawidząc samego siebie, obwieścił: — Dobra, viva, kurwa, la vida... Ja dam siano na jebany koks. Dzwon!